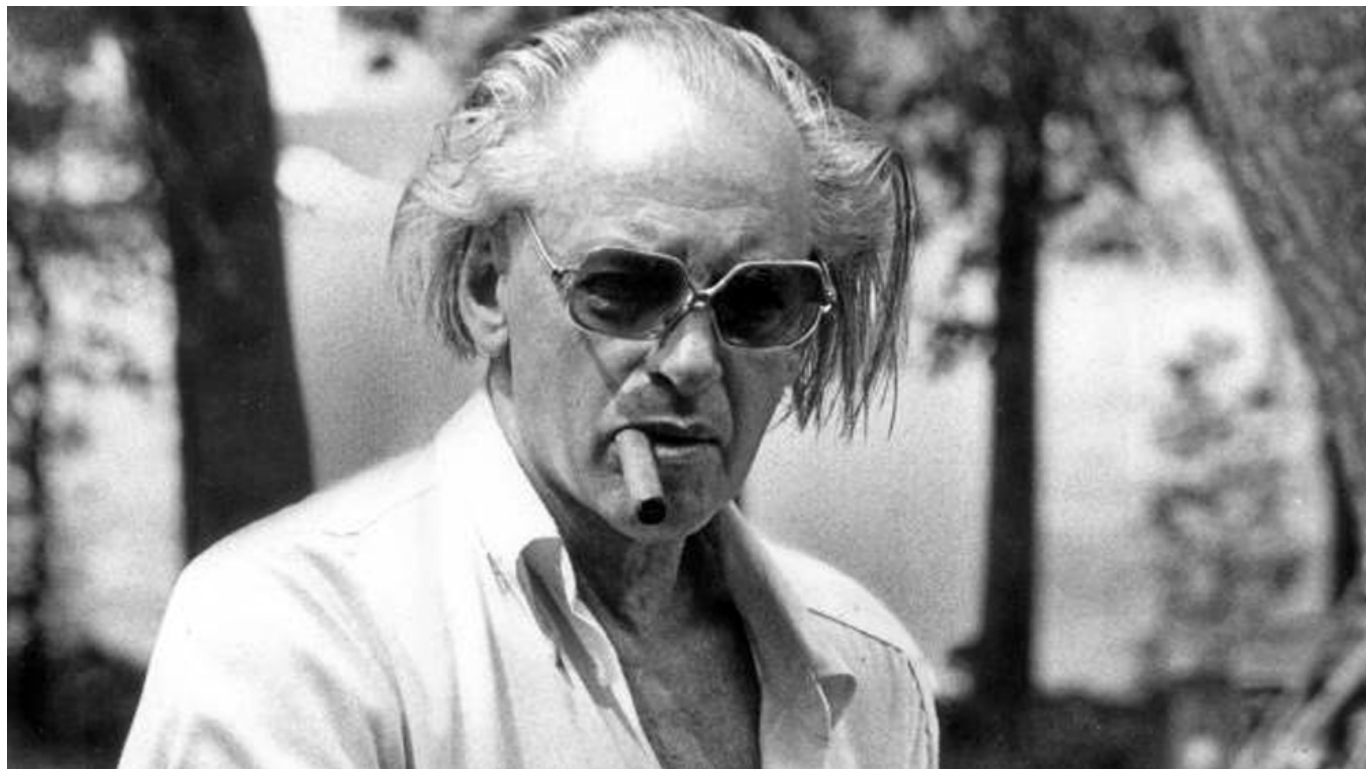


Mól w żelaznej kurtynie. Al Purdy (1918-2000).



Al Purdy

Florian Śmieja

Purdy jest wedle opinii wielu swoich ziomków ważną, a nawet centralną, postacią minionej fazy formowania się narodu kanadyjskiego oraz czołowym poetą tych doświadczeń, oryginalnym głosem kulturalnych, historycznych i politycznych aspiracji ludzi, którzy chcieli zbudować alternatywne społeczeństwo amerykańskie we współpracy Anglosasów i Francuzów, bardziej stabilne i praworządne od republiki południowego sąsiada.

Jego tomik wierszy "Moths in the Iron Curtain" (Toronto 1979) z podtytułem "Przygoda" nie należy do jego sztandarowych utworów, na co wskazuje choćby pominięcie go przez autora, kiedy układał "Poezje zebrane". Ale ten właśnie zbiorek ilustrowany fotografiami zrobionymi przez żonę, Eurithe, ofiarował mi z dedykacją rozciągniętą również na moją żonę i na młodszego syna, „piromana”, kiedy przed

laty wracając z Montrealu odwiedziłem go w jego słynnym domku w Ameliasburgu.

“Mole w Żelaznej Kurtynie” to poetyckie reminiscencje z podróży Ala z kanadyjskim poetą i przyjacielem, Ralphem Gustavsonem, wraz z żonami, na oficjalne zaproszenie do ówczesnego ZSSR. W ciągu trzech tygodni pod ścisłą opieką tłumacza i bacznych pilotów kanadyjska czwórka odwiedziła Rygę, Leningrad, Moskwę, Kijów, Taszkent i Samarkandę. Dowcipny wstęp Ala nadaje również niefrasobliwy ton wierszom. I tak w jednym z nich Al biada nad niewielką ilością napisanych w czasie podróży wierszy i proponuje swojemu towarzyszowi Ralphowi zamianę: za jeden własny wiersz chce pięciu jego tekstów, by było po równo.

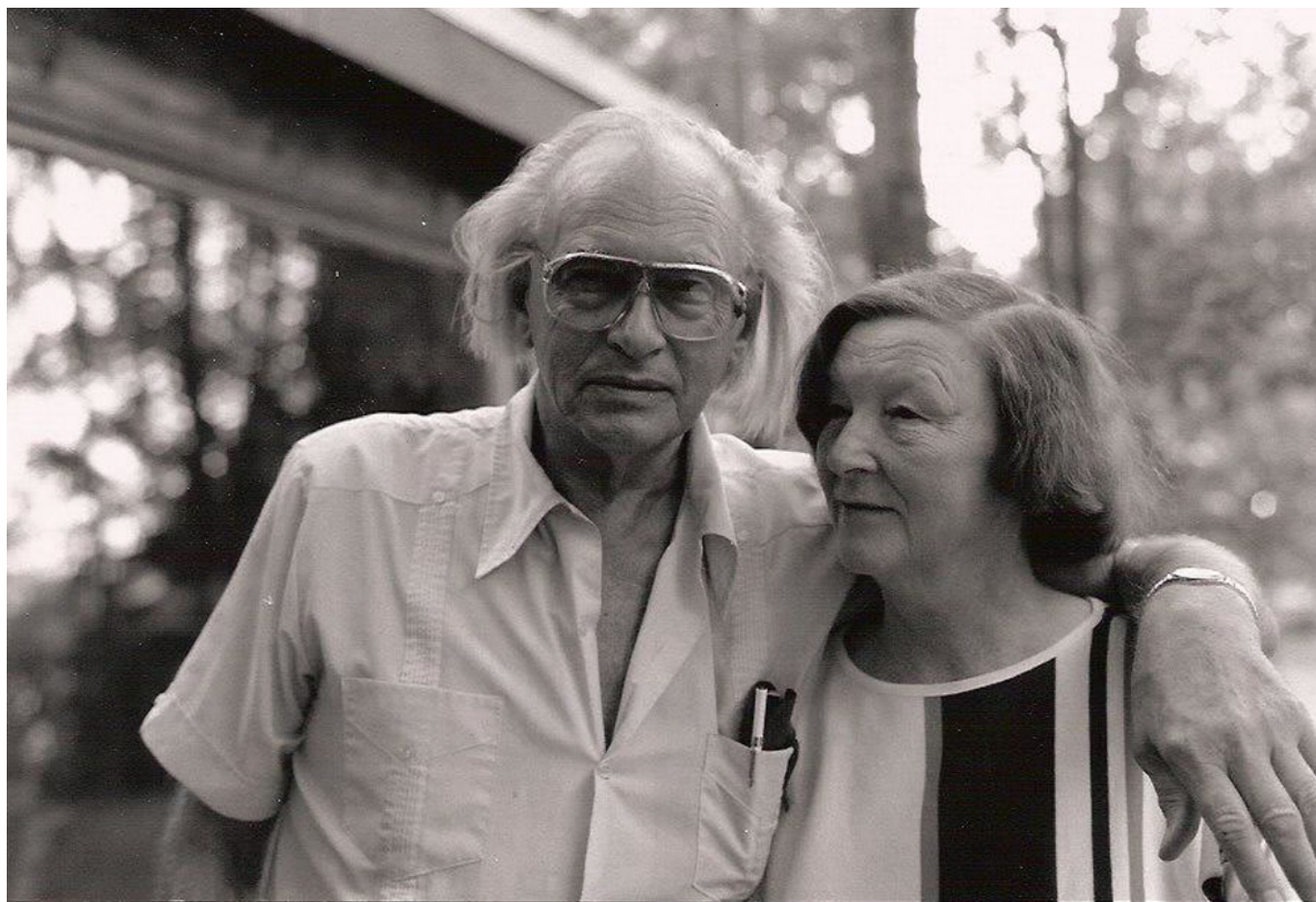
Nie stroniąc od mocnych trunków, którymi ich gospodarze raczyli, goście ograniczyli się do roli przychylnych obserwatorów respektujących zwyczaje i gusta innych. Nie umacniając Żelaznej Kurtyny, wielkiej krzywdy jej nie wyrządzili. Rzadka krytyka była okraszona humorem. Jako szermierz języka efektywnego Purdy przyrównał kwiecisty język gospodarzy do sytuacji, w której “sześć przymiotników kojarzy się z jednym biednym maleńkim męskim rzeczownikiem, co w każdym języku stanowi semantyczną poligamię”.

Alfred Wellington Purdy urodził się w ubogiej rodzinie chłopskiej w Ontario. Opuścił szkołę, kiedy miał szesnaście lat i imał się różnych prac fizycznych jeżdżąc w czasach depresji pociągami towarowymi po całej Kanadzie. Był niezwykłym zjawiskiem potężnego mężczyzny piszącego od młodych lat wiersze. W 1944 roku za własne pieniądze w Vancouverze wydał debiutujący tomik. Nie był żadnym cudownym dzieckiem, ale samoukiem z wrodzoną skłonnością do poezji i chłopskim uporem. Zaczął od naśladowania tradycyjnych poetów produkując słabe, sztuczne utwory pisane w izolacji od współczesnej sceny kulturalnej. Dużo czytał. Z czasem zaczął studiować i poważać rówieśnych poetów jak D.H. Lawrence czy później, Irving Layton, ale poznając nowe formy trzymał się z daleka od naśladownictwa. Wierzył w swoją niezależność, nie chciał cudzych wzorców. Samodzielnie pracował wytrwale nad formą wypowiedzi i językiem. Po latach nabrał pewności i świeżego przypływu energii.

W 1960 zbudował w Ameliasburgu domek, który miał stać się jego ostoją, często z niego wyjeżdżał, ale stale wracał. Mógł wtedy też porzucić dorywcze prace i

poświęcić się pisaniu. Jego poezja reprezentowała już własny głos, pełna była wigoru i swobody, powstawała na dawnych nieudanych próbach mocna i przekonująca. Poeta urobił sobie własną dykcję, jego wiersz stał się płynny i odkrywczy, zmieniał dynamikę i ton. Purdy stał się sobą, osiągnął pisarską dojrzałość. Jego wiersze posiadały moc, były szorstkie, agresywne, ale potrafiły również być delikatne. Buszował w języku odważnie znacząc oryginalną drogę. Wszystkie udane zdobycze warsztatu konsolidował, wydawał wiersze i poematy szeroko czytane, zauważane i nagradzane. W 1965 zdobył ważną nagrodę Gubernatora Kanady.

Ustaliła się też z czasem tematyka jego wierszy: Kanada, jej rozległe ziemie i ludzie, miejsca znane z dzieciństwa, ale także i wszechświat oraz podstawowe tematy jak miłość i śmierć.



Al Purdy z żoną Eurithe

Zaczęto Purdy'go uważać za modelowego poetę kanadyjskiego. Zjawił się nagle na scenie już jako ważny poeta, respekt budzący erudyta, samouk, nieustrudzony

wędrowiec ciekawy świata, człowiek aktywny. Przed sentymentalizmem i pretensjonalnością bronił się buńczuczną, zaczepną ironią. Wciągnęły go sprawy podstawowe i ostateczne. Zdaniem wielu krytyków, żaden inny poeta nie włożył tyle głęboko odczutej kanadyjskości do swoich wierszy. W jego świadomości tkwi zawsze ogrom kraju, a przy tym kruchość istoty ludzkiej na tle nieznanej i niezbadanej prehistorii kontynentu. Poczucie przemijania łączy z koniecznością identyfikowania swojego otoczenia.

Zawsze starałem się unikać

rzeczy nieprzyjemnych

niemiłych zapachów, śmierci, fizycznego bólu

Nigdy mi się to nie udawało

kwiaty śmierdzą, piękno gnije, bogowie umierają

jak tylko uda nam się zagarnąć dla siebie

jakiś słoneczny moment i utrzymać w myśli

już się przemienia w potwora

opisywanie tych wszystkich aspektów grozy

nie jest uniwersalnym lekiem

żadną pomocą w nazywaniu rzeczy

pomimo to nazywam rzeczy po imieniu.

Ukochanie życia każe mu się zajmować najmniejszą formą bytu, którą celebruje:

Odebrać godność jakiemukolwiek bądź żyjątku

nawet kiedy nie potrafi zrozumieć obraźliwych słów

to trywializować życie samo

Uczy, że przez sztukę człowiek unika zagłady, zniszczenia ciała i ducha. Na widok dawnej broszki napisze:

Po 600 latach

myśl z kości słoniowej

jest jeszcze ciepła.

Kiedy przed laty Al przyjechał na jeden semestr w charakterze poety gościnnego na Uniwersytet Western Ontario (a byli tam wtedy tacy pisarze jak James Reaney i Michael Ondaatje), chętnie i z wielkim respektem słuchaliśmy jego pełnego głosu wygłaszającego z radością wiersze, których wydał kilkadziesiąt tomów.

Pisanie dawało mu przyjemność, podróżowanie i wydawanie stały się pasją. Widział szmat świata, ale przede wszystkim poznał rozległe uroki Kanady, które smakował, szczególnie atrakcyjna była dla niego daleka Północ, której ludzie i ich styl życia mu imponowali. Zanotował:

*Nigdy nie byłem szczęśliwszy, niż kiedy leżąc w śpiworze na arktycznej wyspie
wysłuchany w rozgardiasz kaczek na szczycie świata, pisałem wiersz.*

Mimo dużego dorobku i wielkich sukcesów, pozostał skromnym człowiekiem:

*Jako pisarz czułem się zawsze wiecznym amatorem. Pisząc wiersze przez całe
życie, nie mam nigdy pewności, że powstanie nowy wiersz, a potem okazuje się, że
piszę nowy wcale nie wiedząc, jak to się stało...*

Autentyczność tych słów mogę potwierdzić, gdyż czekając raz z Alem pod bramą uniwersytetu na spóźniających się przyjaciół, stałem się posiadaczem rękopisu dotąd nie ogłoszonego wiersza na poczekaniu napisanego i wręczonego mi przez zniecierpliwionego zawieszeniem poetę.

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część II.



Ferdynand Ruszczyc, Ziemia.

Romuald Mieczkowski

Życie w posiołku

- Żyliśmy pokutniczym życiem, tworząc jakby wyklęte pokolenie. Nikt się nie cieszył,

nie śpiewaliśmy pieśni swoich, z rzadka ktoś zażartował, z rzadka gościł uśmiech na twarzach naszych. W posiołku nie było wesel, nie rodziły się dzieci, bo ludzie nie chcieli przenosić swojego nieszczęścia na potomstwo. Kwintesencją naszego istnienia było przetrwanie. Przetrwanie razem, jeśli Bóg da, bez strat, jako rodzina – powraca do wspomnień Tadeusz Dargiewicz. – Najgorzej to było na święta, człowiek zupełnie wtedy miękł, kobiety, a i mężczyźni też, wszyscy ocierali łzy. Siostra przesyłała na Boże Narodzenie opłatek. Przed oczy powracały rodzinne, nierealne teraz widoki, wizerunki krewnych. Ale jakoś trzeba było żyć – poza pracą i umęczeniem siebie wspomnieniami. Jednak o rozrywkach nikt nie myślał, a do jedyne go klubu w okolicy raczej nikt z zesłańców nie chodził. Zbierali się tam Rosjanie, niektórzy tu już urodzeni, i czuli się ze sobą zupełnie dobrze. Parę razy, jako ludzie młodzi, z ciekawości poszliśmy do klubu. Zapamiętały się mi czastuszki, które składali śpiewający o nas...

Spiecpieresielenicy narzekali, że nie ma wśród nich księdza. Prosili nawet naczałstwo, żeby im księdza z okolicy przywieść, ale przedstawiciele władzy odpowiadali, że niejednego nie zostało... Po latach potem Tadeuszowi opowiadał ksiądz-zesłaniec spod Olsztyna, jak starali się duchowni ukryć swoje powołanie. Udawali robotników, podobno specjalnie rzucali niektórzy przekleństwami, by nie wyróżniać się spośród więźniów kryminalnych, z którymi też nierzadko przebywało się razem w niektórych posieleniach czy łagrach. Zresztą w obcowaniu z władzą w „dobrym tonie” były przekleństwa...

Z braku księdza, na początku wyręczała jedna starsza pani, która odprawiała nabożeństwa majowe i inne, ale po jej śmierci nie było następców. Matka Tadeusza zabrała ze sobą książkę do nabożeństwa, więc cała rodzina miała możliwość modlenia się. Interesował się tym pewien Rosjanin, którego przodków zesłano tu jeszcze za cara, prosił przetłumaczyć niektóre modlitwy na rosyjski.

Oczywiście, władza chciała czymś innym zastąpić wiarę. Ale sowieckie święta były obce, a i w czasie ich trwania zamiast wesołości była gorycz poniewierki. Parę razy przyjeżdżało kino, takie z przenośnego generatora. Zapamiętał się film pod tytułem „Titanick”, trudno sobie wyobrazić, ale do takiej głuszy²⁷ dotarł również bestseller z tamtych czasów „Tarzan”. Były próby założenia jakiegoś kółka, teatru amatorskiego, ale nic z tego nie wyszło.

Jeśli chodzi o „rozrywki”, to w tych stronach można było jeszcze liczyć na książkę z biblioteki, ale oczywiście, po rosyjsku. O choć niektórzy szybko nauczyli się czytać w tym języku, to nawet lektury swego oprawcy były obce. Tak samo było z nauką, całe szczęście, że w rodzinie Dargiewiczów nie było kogoś w takim wieku, żeby obowiązkowo musiał pobierać nauki w sowieckiej szkole na Syberii. A te strony były dla ludzi silnych, i biada temu, kto zachorował. Z poważniejszymi przypadkami trzeba było chorego dostarczyć do miasteczka Podgornoje. Tam lekarz, obsługujący spiecziesielwnców, miał dużą butlę jakiegoś żółtego płynu, dawał pacjentowi pół szklaneczki tego płynu niezależnie od choroby – i już miało być dobrze! Hospitalizację stosowano przy bardzo rzadkich przypadkach. Dla chorowitych trudno było o jakieś ulgi, przede wszystkim o łatwiejszą pracę. Przez cały czas zabiegał o nią Adolf Dargiewicz, autor zdjęć syberyjskich, który słabego był zdrowia i często chorował. Ulgi, jakie udało się mu załatwić, polegały na tym, że zamiast wyrębu lasu, obsługiwał wagonik, który ciągnął motowóz, przewożący ludzi, opalał w nim burżujkę, smarował osie, żeby nie zapaliły się od ciężaru przewożonych kłoców. Prawda, w wyniku przebywania w Podgorodnoje był ten plus, że mógł dokonać zakupów materiałów fotograficznych, dzięki którym zachował się dziś tak ważny przekaz z tamtych lat.

Dopiero w 1955 roku doprowadzono sieć radiową, zwaną tu toczką²⁸, a w Polsce potocznie „kołchoźnikiem”. Był to głośnik z regulatorem, przez który można było słuchać jednej stacji. Czas był nowosybirski, a z głośnika Dargiewiczowie usłyszeli też i uświadomili sobie, jak rzeczywiście jest „sziroka strana, maja radnaja.”²⁹ Tę sowiecką piosenkę nadawano każdego dnia. Jeden raz usłyszeli wypowiedź Cyrankiewicza, który mówił, że należałoby łączyć rodziny polskie, porozrzucane po świecie, i wtedy pojawiła się iskierka nadziei o bardziej konkretnych kształtach – skoro ta wypowiedź dotarła aż na Syberię, coś w tym musiało być. Powrotem żyli przez cały czas. Tym bardziej, że o ucieczce raczej nikt nie myślał. Człowiek zginąłby w tajdze, a o szukaniu pomocy w innych posiołkach nie było mowy. Jak też poruszać się bez dokumentów w większych miastach, które otaczały gęsto łagry? Latem byli odcięci wodą, zimą – śniegami i mrozem.

Prawda, jednej osobie udało się zbiec. Jak to nie dziwne, 14-letniemu chłopcu z rodziny Krasowskich, pochodzącej z Podbrzezia. Chłopiec szczęśliwie dotarł do

Wilna. Tadeusz Dargiewicz po latach spotkał go jako dorosłego mężczyznę w Giżycku, gdzie Krasowski z rodziną potem zamieszkał. Gdyby wiedział, że zostaną zwolnieni, chyba nie podejmowałby tego ryzykownego przedsięwzięcia. Gdyby wszyscy wiedzieli, że pozostaną zwolnieni po kilku latach, inaczej patrzyliby na swój los, inaczej odbywaliby swą katorgę, a może i na miejscowym cmentarzyku byłoby mniej krzyży...

Ale któż to mógł przewidzieć?



Ferdynand Ruszczyc

Powrót

W 1956 roku w posiołku Lesnaja zaczęto mówić o powrotach. Po różnych

perypetiach (Adolf ubiegał się nawet o wyjazd do Moskwy w tej sprawie, ale życzliwi odradzili – taki wyjazd mógł zaszkodzić) zapadła decyzja o zwolnieniu rodziny Dargiewiczów.

Mieszane mieli uczucia, bo przestawali już wierzyć w taką ewentualność. Po pięciu latach pobytu w Syberii pogodzili się w pewnym stopniu z przeznaczeniem, ze słyszenia wiedzieli, że może być znacznie gorzej – mieli przecież chatę, krowę, wykarczowali sobie niewielką działkę, otaczali ich dobrzy sąsiedzi. Dargiewiczom poszcęściło się – wracali jako pierwsi.

Zazdroszczono im i cieszą się jednocześnie, bo skoro jedni wyjeżdżają, to i na innych przyjdzie kolej. Wśród miejscowych byli jednak tacy, którzy namawiali zostać, bo w Polsce jest... niepewnie! Władza znowuż, ale już w innym tonie, proponowała pozostać.

– Wyjeżdżając, chcieliśmy mieć jakieś dowody naszego „dobrowolnego” pobytu na Sybirze. Szczególnie uparł się nasz „inteligent” – Adolf – i zaczął kombinować, żeby nam dali jakąś bumagę³⁰. Ale naczalstwo było nieugięte, miało swoje instrukcje i stanowczo odpowiadano: „Nie nado wam budiet.”³¹ Nasi sąsiedzi, ludzie różnych narodowości błagali: „Pamiętajcie o nas, pomóżcie i nas stąd wyciągnąć!” – wspomina Tadeusz.

Postanowili zebrać się jak najszybciej, broń Boże, żeby nie zmieniono decyzji. Kiedy wyjeżdżali, nie było mowy o powrotach Niemców, Ukraińców czy Litwinów. Sytuacja Polaków okazała się szczęśliwsza – o nich ktoś upominał się na szczeblu państwowym – choć kraj był zniewolony, to bezpośrednio nie wchodził do sowieckiego imperium.

Zebrawali się więc bardzo szybko. Tak naprawdę, to nie było czego zabierać, prócz jedzenia na drogę. Choć może zabrali ze sobą za dużo ziemniaków, to potem przydały się w długiej podróży.

Odprowadzali Dargiewiczów wszyscy. Całym posiołkiem. Jakże wzruszające były pożegnania z towarzyszami niedoli! Wyznaczano sobie, przywołując najśmielsze marzenia, miejsce spotkań, obdarowywano pamiątkami. Taki prezent, w postaci

zestawu – piła produkcji niemieckiej, młotek i siekierka – dostał i Tadeusz. Od Niemca, który jako płotnik uczył go tajników stolarstwa ze specjalnością wyrobu trumien. Zestaw ten dopiero niedawno zawieruszył się gdzieś w olsztyńskim garażu Tadeusza. Na drogę dostali też wódki, bo jakże bez niej przy takiej okazji! Kiedy odjeżdżali, u pozostałych szkliły się łzami oczy.

Saniami przebyli 50 kilometrów do miasteczka Podgornoje. Był jeszcze jeden współpasażer, który udawał się do miejscowego więzienia. Nawet komendant NKWD Błochin zmiękł i zaproponował, że za poduszki da konia zamiast powolnego wołu. Zgodzili się i kiedy dotarli na miejsce, czekał na nich kukuruźnik³². Razem wystartowała jeszcze jedna rodzina.

W Tomsku po raz pierwszy od lat poczuli się ludźmi. Nagła dobroć sowiecka sprawiła, że obdartusów odpowiednio „przyubrano”. Ojciec dostał kurtkę, brat też jakieś ubranie. Po raz pierwszy wypali się po ludzku w normalnych łóżkach, dostali posiłki, w mieście to nawet bez eskorty żołnierzy można było pójść na spacer...

Podróż do Polski trwała dwa tygodnie, jechali pociągiem osobowym, nawet z sypialnymi wygodami. Z Tomska z Polakami wyruszyły trzy wagony, po drodze doczepiano kolejne, w sumie około dziesięciu. Gdzieś w połowie drogi na wagonach wywieszono polskie sztandary. Dziwili się na stacjach ludzie, że Polska ma jeszcze swe barwy narodowe.

W wagonie konwojował – „dla porządku” – Dargiewiczów tylko jeden żołnierz. Owszem, bardzo grzeczny, wciąż pytał, czy czegoś nie potrzebują. „Niczewo nie nado nam, nie nado”³³ – odpowiadali pośpiesznie, obawiając się wciąż, że los może się odmienić, tym bardziej, że doszły słuchy, iż jedna rodzina została z sostawa³⁴ zdjęta. Może dlatego, że narzekali na swój los, powiedzieli za dużo? – zastanawiali się. Po drodze widzieli przecież niemało strasznych rzeczy. Na wszelki wypadek postanowili mówić jak najmniej i nie wyrażać żadnych odznak niezadowolenia i sprzeciwu.

W Polsce

Granicę przekroczyli w Terespolu. W ciągu tygodnia przebywali w punkcie rozdzielczym w Żurawicy. Niektórzy potrzebowali szpitala, byli wygłodzeni.

Sybiraków traktowano bardzo serdecznie, z wyrozumiałością. Ale trzeba było gdzieś się zakotwiczyć. Dargiewiczowie wyruszyli do Olsztyna, gdzie był już jeden z braci. Niestety, po tylu przeżyciach i stratach, na jakiś kąt własny nie można było liczyć. Święta Bożego Narodzenia Anno Domini 1956 witali na wolności, u brata, który ich przygarnął. Każdy dostał po tysiąc złotych zapomogi, i to było wszystko. Choć mieli tzw. Kartę, w której zapisano, żeby pomagać przybyłym, to władze podchodziły do tych z Sybiru najczęściej z rezerwą. Zaczynali więc od zera znowu, musieli mieszkać kątem u krewnych i znajomych, szukać pracy. Ale było to jednak życie na wolności.

Zaczęli powracać i inni. Po roku wrócił kolega Tadeusza Pałabis i również zamieszkał w Olsztynie. Powroty kolejnych rodzin były utrudnione: o ile Dargiewiczowie wracali na koszt państwa, to już po nich trzeba było zarobić na opłacenie podróży. A to nie taka łatwa była sprawa w tamtych warunkach, więc dorabiali, jak tylko mogli, wymagało to często niehumanitarnego wysiłku.

Różnie ułożyły się losy ich sąsiadów i znajomych z zesłania. Tacy Woronkowie, na przykład, przez lata czekali, że dzieci ich zabiorą. Tak i nie doczekali się.

Los Mieczysława

- Dzięki Bogu, mnie los oszczędził. Choć nigdy nie byłem atletą, to zdrowie dopisywało, podobnie innym braciom. Ale nie wszystkim. Jak już opowiadałem - wyjaśnia Tadeusz, - brata Bronisława zastrzelił policjant. Najwięcej dostawało się Mieczysławowi - choć dobrze był zbudowany, wysoki. Niemcy go aresztowali w czasie wojny i chcieli wywieźć, czekali na decyzję w Rudominie. Ale jakoś udało się rodzicom temu zapobiec. Mieczysław był bardzo pracowity, prawdziwy gospodarz. Z drugiej strony - niezwykle wrażliwy. Kiedy przyjechali zabrać ostatnią krowę, tak bardzo się przejął, nie oddawał, więc enkawudziści starali się „zastraszyć” go, strzelali w jego stronę, a potem związali powrozem ręce. Kiedy zbliżały się wywózki, uciekał. Dostał silnej nerwicy, nie było żadnej możliwości leczenia. W tym czasie ktoś spalił kolchozową stodołę w Rybniszkach, gdzie były zmagazynowane narzędzia rolnicze, zabrane u miejscowej ludności. Na to Mieczysław ucieszył się i powiedział: „Czyżby przychodzi koniec na bandytów?” Coś w nim pękło, zabarykadował się w dużym domu w Baraszkach, przychodził tylko na wspólne posiłki, sposepniał. Kiedy nas w 1951 roku zabierano, stał się agresywny, mógł nawet schwycić za siekierkę...

Więc sprowadzono większą siłę, Mieczysław zaczął uciekać, prawdopodobnie do siostry Anastazji, która była mężatką i mieszkała w Solecznikach. Dogonili go akurat naprzeciwko domu pana Konopnickiego i tak zbili, że już nigdy nie odzyskał świadomości. Nawet na Sybir go nie zabrali, bo i komu taki był potrzebny? 40 lat przebywał w szpitalu dla umysłowo chorych w Nowej Wilejce. Po latach nie poznawał nikogo, nie mówił nic, gdy go odwiedzaliśmy, nawet nie brał od nas jedzenia. Zmarł samotnie w jakimś miasteczku na północnej Litwie. Nie zostaliśmy nawet powiadomieni o jego śmierci, dowiedzieliśmy się o tym dopiero w grudniu 1994 roku. Kiedyśmy napisali list do litewskiego ministerstwa, nie żył od ośmiu miesięcy. Po radzie z bliskimi postanowiliśmy go godnie pochować i przewieźliśmy jego prochy na cmentarz na Rossie. Spoczął obok brata Bronisława – kończy gorzką opowieść Tadeusz.

Zapamiętał go jako przystojnego mężczyznę. W 1951 roku Mieczysław miał 20 lat, po małżeństwie marzył o dużej, zasobnej gospodarce.

Los najbliższych

Rodzice Tadeusza Dargiewicza zmarli w Polsce, dożywając sędziwego wieku. Zmarł też w Gdańsku brat Tadeusza Franciszek. Adolf, „fotograf sybirski” i człowiek o zacięciu artystycznym, mieszka w Białymstoku, Wilhelm – żołnierz AK, uniknął Syberii i w 1945 przyjechał do Olsztyna, siostra Maria dostała się do Polski również w 1945 i osiadła w Gorzowie Wielkopolskim. Inna siostra – Anastazja Zieniewicz, już w czasie wojny była mężatką i to ją uratowało od wywózki. Dziś mieszka w Wilnie.

I wreszcie Tadeusz, którego opowieść w dużym skrócie próbuję utrwalić. Chciał zawsze się uczyć, ale nie sądzono mu było. Pracował jako robotnik, ślusarz, konserwator maszyn krawieckich. Nie narzeka, jest pogodnego usposobienia, bez emocji opowiada, że przez długie lata nikogo nie obchodziły ich syberyjskie losy, władza udawała, że tej tragedii nie było. Ożywia się, kiedy mówimy o działalności Związku Sybiraków, którego jest członkiem. Tak, spotykają się często. Uczestniczą w nabożeństwach, coraz częściej w pogrzebach, biorą w nich udział księża-katorżnicy. Ulgi? Drobne są. Nie płaci za telewizor, radio. Są pewne zniżki kombatanckie.

Tadeusz często myśli o Wileńszczyźnie, interesują go wieści z Litwy. Cieszy się, że jest ona wolna. To co było, nie wróci – powiada. Zresztą i z osady nic dziś nie

pozostało. To miejsce porosło brzoškami. Nadzieja w przyszłości – uważa – w kontaktach nowego rodzaju między dziećmi wychodźców z Wileńszczyzny w Polsce a Polakami, którzy na niej zostali.

Zafascynowana miastem nad Wilią jest jego córka Elżbieta, udzielająca się w Towarzystwie Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. To dzięki niej poznałem swych krewnych. Ela posiada mnóstwo zdjęć z Wilna i okolic, zawsze przyjeżdża „głodna” wrażeń i wiedzy o tych stronach. Jest pedagogiem. Tytuł jej pracy magisterskiej, którą obroniła w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie, brzmi: *Monografia polskiej szkoły średniej im. A. Mickiewicza w Wilnie*. W tej szkole spędziła wiele czasu, chcąc poznać potrzeby i możliwości naszego szkolnictwa. Pragnie współpracy młodego pokolenia i częstszych kontaktów wzajemnych.

Przedstawiłem mały tylko wycinek życia Dargiewiczów w burzliwych i okrutnych czasach terroru. Zdaję sobie sprawę, jak niepełna jest ta opowieść. Bo i czyż można ogarnąć los ludzki w czasie krótkiego spotkania? Jako „kronikarz” tych ziem, będę chciał się przyczynić, aby ocalić od zapomnienia złożone i tragiczne losy ludzi wywodzących się z Wileńszczyzny – wszak nie ma rodziny, którą by oszczędziła gehenna wojny i późniejszych „porządków”.

¹ *niekrasiiwoj żenszczi* – brzydkiej kobiety (ros.).

² *pogołowno* – dosłownie: co do głowy, wszystkich, co do jednego (ros.)

³ *parsiuczek* – prosiak (gwara wil.).

⁴ *spiecpieresieleniec* – przesiedlenie o charakterze specjalnym (ros.).

⁵ *barża* – barka (ros.).

⁶ „Matko, u nas kula kosztuje cztery kopiejki, a ty i tak tutaj zdechniesz. Za darmo.” (ros.).

⁷ *Niurskij Lesozagotowitielnyj Punkt* – Niurski Punkt Skupu DREWNA (ros.).

⁸ *uczastok* – dcinek (ros.)

⁹ *posielenije* – osiedlenie, zesłanie (ros.).

¹⁰ *nadziratiel* – dozorca, obozowy (ros.).

¹¹ *bumaga* – papier, dokument (potocznie, ros.).

Anatomia drzewa



The Gate, Land Art Festival, Poland, fot. Jowita Mormul.

Z rzeźbiarzem Ryszardem Litwiniukiem rozmawia Małgorzata P. Bonikowska.

Niezwykłe formy wykonane z drewna, ukazujące jego faktury, kształty – zapadające w pamięć, budzące refleksje. To rzeźby Ryszarda Litwiniuka, artysty, który przez lata tworzył w Kanadzie, kraju drzew i lasów, a od paru lat mieszka znowu w Polsce. Tam pracuje, wystawia i uczestniczy w wielu ciekawych projektach.

Małgorzata P. Bonikowska: Pracujesz w drewnie. Dlaczego – co jest takiego w tym materiale?

Ryszard Litwiniuk: Drewno zawsze mnie fascynowało. Zawsze lubiłem jego zapach, strukturę, fakturę, miękkość. Rosnące drzewo jest pełne dumy i majestatu... Ścięte drzewo ma w sobie wiele pokory, dalej pozostając sobą – jest drzewem. Przez lata pracując z drzewem – lub drewnem, jak kto woli – wiele się nauczyłem i myślę, że ta osobista relacja, mój dialog z naturą daje mi większe i pełniejsze zrozumienie. Nie ścinam drzew. Pracuję w pniach odnalezionych lub mi ofiarowanych do projektu, instalacji, czy rzeźby. Staram się podchodzić do mojego drzewa, drewna, kawałka materiału z należytytym szacunkiem, harmonią i zrozumieniem. W swoim procesie pracy staram się otwierać drzewo, zmienić je, przetransformować, przedłużyć jego egzystencję w innej, nowej formie... Mojej własnej. Świeżo ścięte pnie są dla mnie żywą tkanką, żywą materią, do której w danym momencie uzurpuje sobie prawo ingerencji. Z chirurgiczną precyzją, zrozumieniem i uwagą. Interesuje mnie jego struktura, masa, objętość – coś co nazywam “anatomią drzewa”... To jest to co odkrywam, eksploruję, co wykorzystuję i staram się pokazać. Pokazać to co niedostrzegalne, co jest w środku. Tego nie widać. Widzimy często tylko jego korę, skórę, zewnętrzną fakturę materii. Otwierając drzewo pokazuję coś co jest ukryte, niewidoczne, niewidzialne, często zapomniane, lekceważone, ignorowane...

M.P.B.: Twoje rzeźby są jakby częścią przyrody. Jak opisałbyś tę relację?

R.L.: Oczywiście, moje rzeźby są częścią przyrody. Nie mają wyjścia, po prostu są. Istnieją. Mają swój własny byt i tożsamość nie tylko z racji materiału jako części natury, ale z kontekstu miejsca, relacji przestrzennych, okoliczności powstania itp... Myślę, że te dwa aspekty – czasu i miejsca odgrywają dla mnie ważną rolę. Determinują cały proces – moje decyzje w trakcie pracy, obserwacje. Często też pomaga wiedza odnośnie tradycji, historii, kultury, archeologii, etc. Wiele z moich

realizacji powstało w różnych zakątkach świata, kiedy to ja byłem jakby obcym i w kontekście tych relacji starałem się odnaleźć harmonię. Z jednej strony zawrzeć coś własnego, a z drugiej odkryć coś co będzie ponad czasem i miejscem... Jakiś pierwiastek uniwersalny, ważny dla mnie "tu i teraz".

M.P.B.: Od dłuższego czasu jesteś w Polsce. Co tam robisz artystycznie?

R.L.: Tak, jestem w Polsce. Wróciłem po latach z Kanady. Nie czuję się tu jako obcy, intruz, czy powrotny imigrant. Jedyna różnica, która wydaje mi się zasadnicza, to ta, że znowu mówię w swoim języku i wszystko co widzę jest bardziej swojskie, własne, moje. Nie mówię, że Kanada była mi obca językowo czy kulturowo. Była inna. Teraz od kilku lat staram się odnaleźć swoje miejsce w kraju, z którego świadomie i z własnej woli wyjechałem. Pytasz mnie co tu robię artystycznie... Wiele rzeczy się wydarzyło. Obecnie przygotowuję moją jubileuszową retrospektywną wystawę w Galerii EL w Elblągu. Dwie inne wystawy, które miałem w planie wcześniej w Warszawie i Toruniu, z przyczyn organizacyjnych nie będą mogły się odbyć... Obecnie pracuję nad kilkoma innymi projektami, a z wcześniejszych wydarzeń i realizacji chciałbym wymienić projekt na Biennale w Luksemburgu, cztery projekty w Niemczech, następnie Bułgaria, Finlandia, Szwajcaria, oraz Polska - Kozłówka i Gdańsk. W tym roku, projekt w kamieniu na Cyprze oraz w Niemczech. W Polsce instalacja na 6. edycji Land Art Festival nad Bugiem, oraz udział w Międzynarodowej Wystawie Sztuki Ziemi w Kunsthalle- Mucsarnok w Budapeszcie (www.mucsarnok.hu / www.kunsthalle.hu). Dołączam moje podziękowanie dla kuratora Johna K. Grande'a za zaproszenie do tego projektu. Z wydarzeń konkursowych, o których chciałbym jeszcze wspomnieć, to pierwsza nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Rzeźby rozpisany przez miesięcznik dla profesjonalistów "Drwal" - dla artystów rzeźbiarzy pracujących piłą łańcuchową, oraz druga nagroda w Konkursie Konfrontacje Sztuki w Warszawie prowadzonym przez Galerie Test, oraz Mazowiecki Instytut Kultury. W tym konkursie otrzymałem nagrodę specjalną przyznawaną i fundowaną przez Rektora Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.



The Gate, Land Art Festival,
Poland, fot. Jowita Mormul.

M.P.B.: Ostatnio uczestniczyłeś w ciekawym artystycznym projekcie Land Art Festival. Na czym on polegał?

R.L.: Było to długo wyczekiwane, oczekiwane moje przebywanie na tych terenach... Od kilku lat nie udawało mi się tam być i czynnie uczestniczyć w poprzednich edycjach Land Art Festival z różnych przyczyn. W tym roku udało się zgrać terminy i przyjechałem tam z dwudniowym spóźnieniem, bezpośrednio z naszej zachodniej granicy nad Odrą, gdzie realizowałem mój projekt "The Bridge" w Hoyerswerda w Niemczech. Nastąpiło tu fantastyczne sprzężenie czasowomiejskowe – dwie rzeki, dwie granice, na zachodzie i na wschodzie w tym samym czasie, w tym samym roku praktycznie z marszu... Wróciłem w rodzinne strony mojego Taty, który urodził się w tych stronach w okolicach Białej Podlaskiej, skąd pochodzi moja rodzina i gdzie jeszcze do dziś mieszka sporo Litwiniuków. Na 6. edycji Land Art Festival na przełomie Bugu w przepięknym dziewiczym terenie Janowa Podlaskiego i Bubla miałem okazję zrealizować mój projekt "The Gate" bezpośrednio na współczesnej wschodniej granicy – na Bugu. Był to dla mnie wyjątkowy powrót do korzeni, do

rodzinnych stron, do miejsca gdzie rzeka płynie od wieków, a granica wytworzona współcześnie dzieli kraje, terytoria, krajobrazy. W moim przypadku było to o tyle istotne, że w miejscu, które wybrałem do pracy i instalacji mojego projektu, stoi słup graniczny – 217. Jest on częścią krajobrazu, jest też również częścią widokową mojego projektu. Oba te elementy istnieją w tej samej przestrzeni, a po drugiej stronie Bugu w prostej linii patrząc przez moje Wrota, widać graniczny słup białoruski... Na osi wschód-zachód tworzy się prosta linia z moimi otwartymi pośrodku wrotami – The Gate – zapraszające, witające, otwarte. Pierwszy projekt na zachodniej granicy realizowany był pod hasłem “Integration”, a drugi, na wschodzie, pod hasłem “Home”... Chciałbym podziękować organizatorom tych artystycznych wydarzeń – zarówno miastu Hoyerswerda w Niemczech, jak również Fundacji Latająca Ryba w Polsce za możliwość realizacji moich instalacji bez granic... (www.landart.lubelskie.pl- Fundacja Latająca Ryba)

M.P.B.: Co ciekawego dzieje się w sztuce w Polsce? Czy wiele się zmieniło od czasu, kiedy tam żyłeś na stałe?

R.L.: Na to pytanie trudno jest jednoznacznie odpowiedzieć... Wiele się dzieje – wiele zmian w administracji, galeriach, tworzą się nowe miejsca, nowe pokolenia aktywnych artystów, marszandów, kolekcjonerów. Bardzo popularne są aukcje dzieł sztuki organizowane przez domy aukcyjne oraz prywatne galerie. Odchodzą dawni mistrzowie, tacy jak Jurek Kołacz, Mitoraj, Fangor, a ostatnio Geno Malkowski... Jak w każdym kraju, w każdym miejscu na świecie, następują zmiany. Pojawiają się nowe wydarzenia, nowe zjawiska, nowe elementy artystycznego krajobrazu...

M.P.B.: W którym kraju czujesz się lepiej jako artysta? Chodzi mi o to, gdzie jest lepiej artystom, gdzie jest większe wsparcie, lepsza społeczność do współdziałania itp.

R.L.: Myślę, że każdy może czuć się dobrze tam, gdzie może wykonywać swoją pracę.

M. P.B.: Czy zostajesz na zawsze w Polsce?

R.L.: Na to pytanie wolałbym nie odpowiadać bezpośrednio i kierunkowo, w myśl starego dobrego powiedzenia – “Every place is a good place to live”... Znając swój

charakter wagabundy oraz moje podróżnicze pasje – mogę tylko powiedzieć, że nic nigdy nie wiadomo... Realizuję swój program “Open Concept Project” i wszystko jest otwarte. Nigdy nie wiadomo co przyniesie kolejny dzień. Najważniejsze jest Tu i Teraz...

Ryszard Litwiniuk – urodzony w Olsztynie w 1966 roku, w 1992 roku ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku (dyplom w pracowni prof. Edwarda Sitka). W 1994 roku otrzymał prestiżowe stypendium: “Grant of the Pollock- Krasner Foundation Inc., New York, USA”. Wielokrotnie nagradzany za swoją twórczość artystyczną. Ma na swoim koncie dziesiątki wystaw indywidualnych i zbiorowych.

Wywiad ukazał się w „Gazecie” w Toronto, w październiku 2016 r.:
<http://www.gazetagazeta.com/2016/10/anatomia-drzewa/>

Linki:

www.RyszardLitwiniuk.blogspot.com

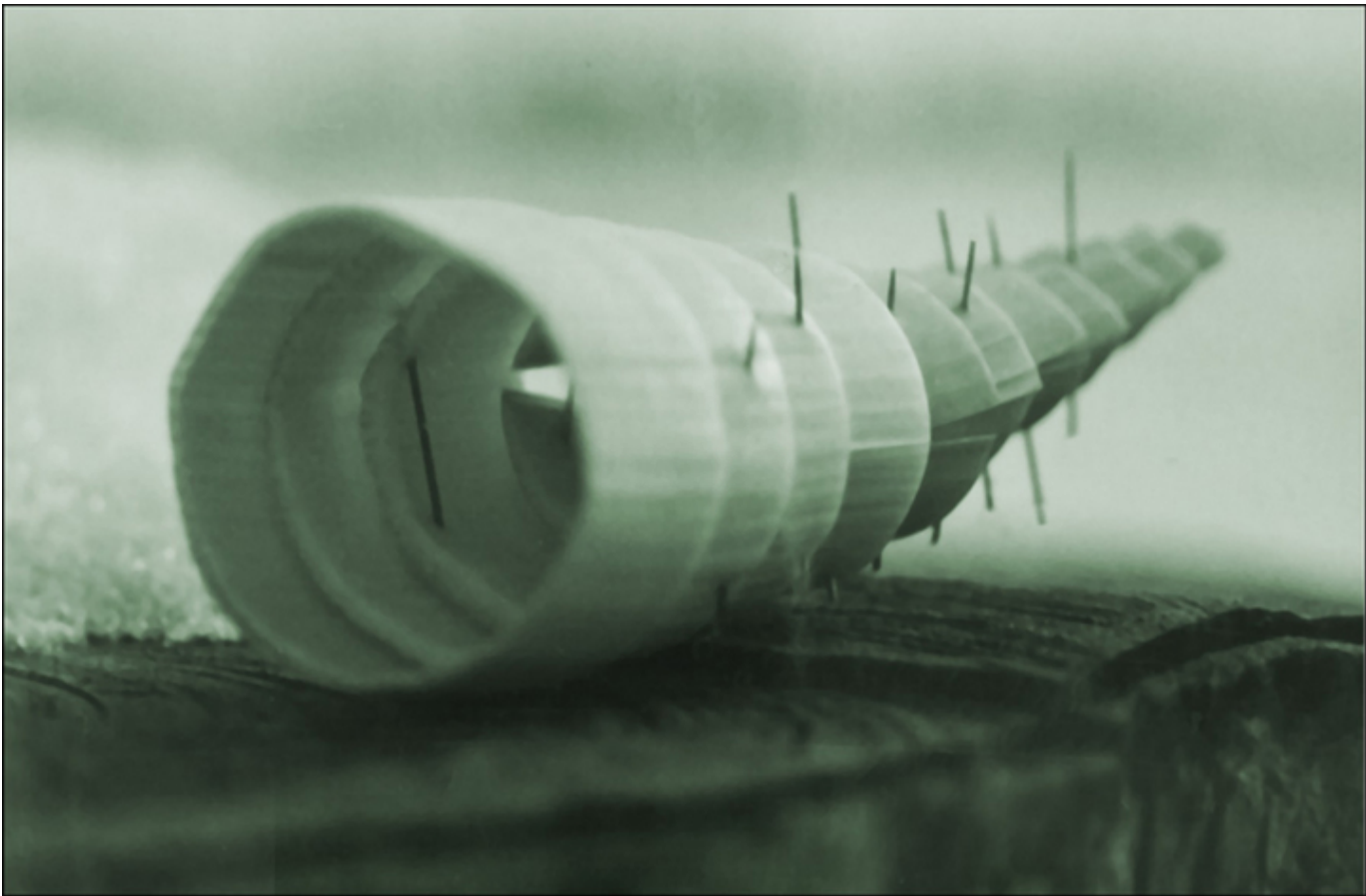
www.nonviolence2.blogspot.com

www.artinnatureresidency.blogspot.com

www.landart.lubelskie.pl/landart_gallery/the-gate-2/

Galeria

Rzeźby Ryszarda Litwiniuka w skali micro







Ryszard Litwiniuk - rzeźbiarz natury

Od 19 stycznia do 26 lutego 2017 r. w Centrum Sztuki Galeria EL w Elblągu trwa retrospektywna wystawa prac Ryszarda Litwiniuka „System otwarty”.



Ryszard Litwiniuk, The Gate, Land Art Festival, Poland.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Rzeźba, to nie tylko forma nadana stałej materii, to nie tylko zagłębianie się w tworzywo i wyłuskiwanie kształtów własnej wyobraźni, ale również odkrywanie świata, mikrokosmosu, praw rządzących istnieniem i wszelkich mechanizmów stojących u podstaw każdej formy życia. Ryszard Litwiniuk w swojej pracy twórczej wędruje w głąb świata przyrody, aby dotrzeć do esencji życia, tkwiącej na dnie molekularnych cząstek. Stworzone przez niego formy żyją, mimo, że zastygły w bezruchu. Artysta posługuje się naturalnymi materiałami, dostępnymi w miejscu pracy. Powstają więc obiekty piękne, monumentalne, stojące na wolnym powietrzu lub wijące się w salach galerii, statyczne lub dynamiczne, skończone lub nieskończone, idące w głąb czasu czy szeroko obejmujące przestrzeń, ale wszystkie,

za pośrednictwem sztuki, stały się inną formą życia. W pracy Ryszard Litwiniuk dostrzega istotne elementy, z których kształtuje swoją wizję świata – natura jest jego tworzywem, a siły natury często jednym z narzędzi. Wykorzystuje więc takie materiały jak ziemia, trawa, woda, śnieg, lód i narzędzia takie jak np. ogień. Zapala lodowe bloki, by podczas trwającego kilkanaście minut happeningu, ogień dostał się w głąb zamrożonych brył i uformował naturalne kształty. Ustawia w szeregu puste, gdzieś pęknięte, metalowe postumenty, napełnia je fasolą i zalewa wodą. Nasiona kiełkują, postumenty pękają, a wynikiem wyobraźni artysty i energii natury jest szereg zjawiskowych form, stworzonych w procesie powstawania życia. Archeologiczne wykopaliska na tyle zainspirowały Litwiniuka, że pokusił się o podróż w czasie.

Truso – osada z IX wieku, gdzie uprawiano rzemiosło i handel, odkryta w 1982 roku, stała się jednym z największych sukcesów polskiej archeologii w ostatnim ćwierćwieczu. W 1997 roku na międzynarodowym sympozjum TRUSO'97 – „Signs of Duration” (Znaki trwania) odbywającym się w Galerii EL w Elblągu, Ryszard Litwiniuk, współorganizator, kurator pleneru i jednocześnie uczestnik, pokazał serię „Inwazja”, która stała się wymownym dotknięciem historii przez inny czasowo świat. Odarte z kory gałęzie wierzby, umieszczone na sarnich nogach, stojące wzdłuż strumienia na zboczu pagórka, sugerowały obce istoty, które pełne czujności poruszają się w kierunku nieokreślonego celu, z niepokojem badając nowo odkryty ląd. W tym samym roku, w Voullerim w Szwecji (FINIK's Experimental Symposium, Sweeden) artysta stworzył opowieść na temat przeszłości kamienia „Six Thousand Years – Story of the Stones” (sześć tysięcy lat – historia kamienia). Tutaj także zainspirowały go odkrycia archeologiczne. Wydawało by się, że na dalekiej północy, prawie na kole polarnym, ze względu na klimat nigdy nie mieszkał człowiek. A jednak 6 tysięcy lat temu kwitła tam wspaniała cywilizacja. Zrekonstruowane osady, odkopane domy wskazują na ślady życia i ludzkiej egzystencji. Najbardziej trwałym pomnikiem historii okazał się w tym przypadku kamień. Artysta wykorzystał prostą, ale wymowną formę – smukłe wysokie drzewa wznoszące swe ramiona od ziemi w kierunku nieba, trzymające w górze kamienie, jakby chciały je podarować w hołdzie Bogom. Kamienna procesja jest postępująca, kolejny układ drzew – rąk z kamieniem, jest coraz wyższy. Wyrastające z ziemi struktury w rytualny sposób oddają też hołd ziemi – miejscu swego pochodzenia. Prosta forma i minimalny materiał nawiązują

wymowny dialog ze środowiskiem.

Od pewnego czasu głównym terenem eksploracji twórczej Ryszarda Litwiniuka stało się drzewo – potężne, monumentalne, życiodajne, długowieczne, ale i łatwopalne – pełne syntez, symboliki. Seria drewniana, podobnie jak inne serie, cały czas ewoluuje. Wcześniejsze prace artysty były kinetycznymi transformacjami – rzeźby wykonane w drewnie miały wygląd form ludzkich z ruchomymi elementami, a w kolejnych etapach twórczych ruch został zatrzymany, przekształcając energię kinetyczną, w inną formę życia. W 1998 roku podczas sympozjum we Francji artysta zrealizował projekt pt. „Renesans”. Był nim ścięty i przewrócony 150 letni dąb, przymocowany do ułamanego pnia pojedynczym, drewnianym kołkiem. Praca poprzez próbę odtworzenia naturalnego wzrostu i energii, uchwyciła esencję natury, którą się sztucznie fabrykuje i ingeruje.

W naturalnym środowisku, w lesie, życie ciągle się zmienia, drzewo stojąc niemo czeka na ścięcie. Poprzez transformację dostaje drugie życie, trwałe. „Renesans” jest jednym ze świadectw na przyszłość i ciągłość uzyskaną za pośrednictwem sztuki.

W tym roku ma miejsce retrospektywna wystawa prac artysty w Galerii EL w Elblągu. Relacja z wystawy i prezentacja albumu ukaze się w marcu. A w piątek, 3 lutego będzie można przeczytać wywiad Małgorzaty P. Bonikowskiej, na temat najnowszych dokonań Ryszarda Litwiniuka, który po wielu latach mieszkania i pracy w Kanadzie, zdecydował się powrócić do Polski, aby stąd podbijać świat.

Wywiad telewizyjny z otwarcia wystawy w Galerii EL w Elblągu:

<http://www.truso.tv/wiadomosci/45133,czlowiek-z-drewna>

Galeria

Instalacje



The Bridge Hoyerswerda, Germany.



The Bridge Hoyerswerda, Germany.



Ryszard Litwiniuk, The Smile, Bad Schlema, Germany.



Ryszard Litwiniuk, The Nest, Kozlowka, Poland.



Ryszard Litwiniuk, The Source, Thyon. Switzerland.



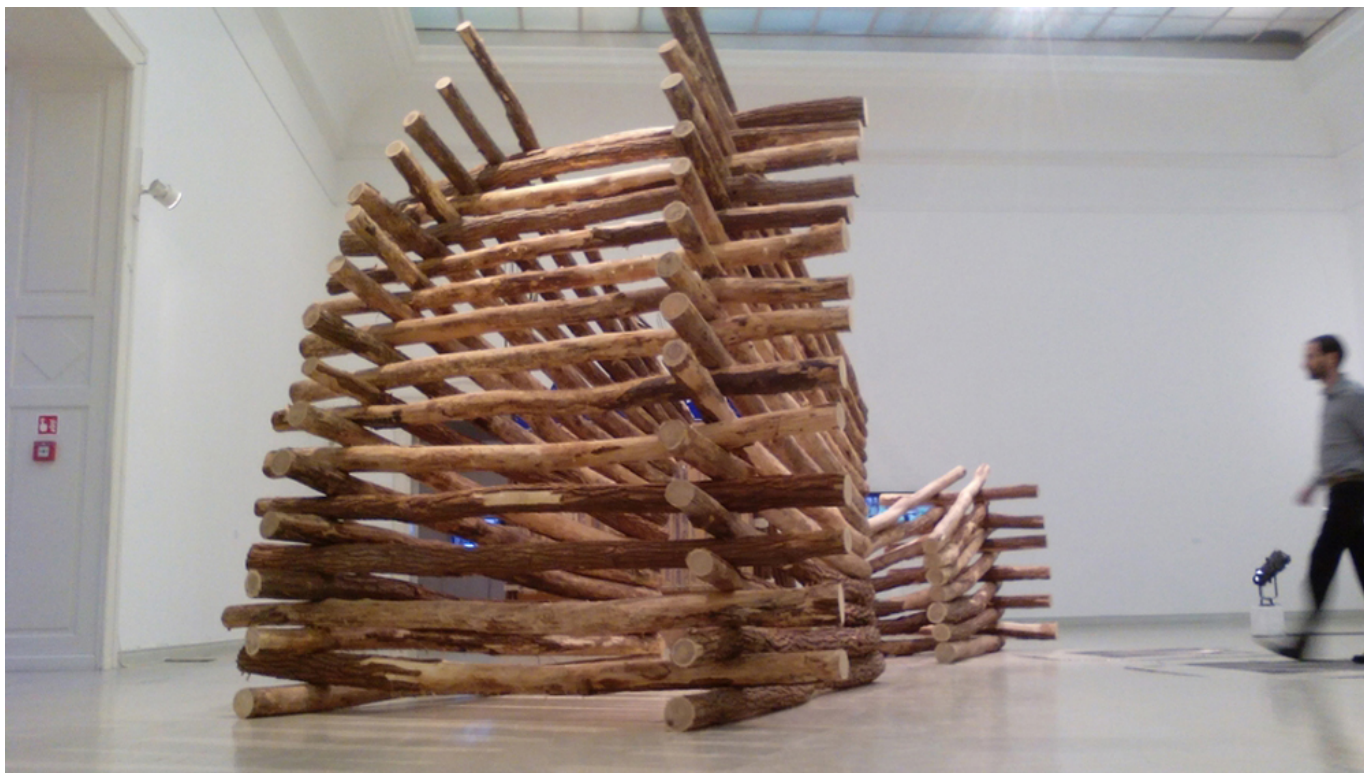
Ryszard Litwiniuk, Two Towers, Gdansk.



Ryszard Litwiniuk, Tower, Kozłowska.



Ryszard Litwiniuk, Dead Tree, Project McMichael Canadian Art Collection 2011.



Ryszard Litwiniuk, The Gate, Kunsthalle, Budapest.

Koza, kurz i trociny



John Sloan, McSorley's Back Room, 1912 r.

Dariusz Pawlicki

W manhattańskiej East Village, przy Wschodniej 7 Ulicy, mieści się coś, moim zdaniem, wartego zobaczenia; i to z bardzo wielu powodów. Mam na myśli pub, którego pełna nazwa brzmi McSorley's Old Ale House. Jest to prawdziwa instytucja pośród pubów nowojorskich, których są setki. Żadnemu zresztą nie poświęcono tyle uwagi w rozmaitych przewodnikach i Internecie, co właśnie McSorleyowi. Jest on także obowiązkowym punktem na trasach wszelkich „wędrówek” po lokalach tego typu w Nowym Jorku. Także tych organizowanych dla turystów z udziałem przewodnika.

*

Wnętrze McSorleya pogrążone jest w półmroku. Drewniane ściany, od jednej czwartej ich wysokości, pokryte są szczelnie obrazami, rysunkami, grafikami, fotografiami. Z tym, że dekorację ściany za długim kontuarem tworzą setki

przedmiotów pokrytych warstwą kurzu: lasek, hełmów, kasków, czapek, figurek rozmaitej wielkości, fajansowych kufli i talerzy, miedzianych i cynowych dzbanów, zdjęć (w tym bywalców pubu), fragmentów urządzeń technicznych.

Wspomniane kontuar, jak również krzesła i stoliki są drewniane. Przy czym te ostatnie tak są zużyte, że sprawiają wrażenie użytkowanych od początku istnienia lokalu. Podłogę pokrywają świeże trociny – to tradycja pubu. Na jej środku stoi koza, która w chłodne dni jest źródłem ciepła. W ustawionym na niej dużym czajniku, przy okazji, gotuje się wodę na herbatę.

*

McSorley's Old Ale House został założony w 1854 r. przez Johna McSorleya (zmarł w 1910 r. w wieku 87 lat). W początkowym okresie istnienia pubu, do jego stałych bywalców należał Abraham Lincoln. A wiek później wpadał tu na piwo, ilekroć był w Nowym Jorku, John F. Kennedy. Lokal ten nie kojarzył się jednak nigdy z politykami, ale przede wszystkim z artystami, literatami. Właśnie oni, przynajmniej od początku XX w., uznali to miejsce za swoje. I tak, przykładowo, malarz John Sloan, w latach 1912-1930, organizował w McSorleyu wystawy swoich obrazów. Zresztą utrwalił wnętrze pubu, jak i jego gości, na dwóch obrazach olejnych*. A Joseph Mitchell publikował w znanym miesięczniku *The New Yorker* szkice poświęcone bywalcom tego lokalu i zdarzeniom, które miały w nim miejsce; tematów mu nie brakowało. Po latach teksty te złożyły się na książkę *McSorley's Wonderful Saloon*. Bywalcem McSorleya był również poeta Edward Estlin Cummings. W jego pierwszym tomiku *Tulips and Chimneys*, opublikowanym w 1923 r., znalazł się wiersz bez tytułu, zaczynający się od słów: „Siedziałem w McSorleyu”. W latach 50. i 60. ubiegłego wieku czytali tu swoje utwory poeci związani z ruchem beatnikowskim i hipisowskim. W tym też okresie lokal często odwiedzał pieśniarz folkowy, bard Woody Guthrie. W następnej zaś dekadzie – przybysz zza Atlantyku, John Lennon. Źródła milczą jednak na temat tego, czy Guthrie i Lennon prezentowali tu swe umiejętności muzyczne i wokalne.

*



McSorley's, rys.
Ryszard Sawicki.

Popijając kolejne piwo, słysząc w tle przyciszony gwar, stopy opierając o podstawę kozy, można pisać list, umieszczając w nim, na bieżąco, informacje dotyczące miejsca jego powstawania. Można też zapisywać kolejne wersy jakiegoś wiersza. Do tworzenia takiego utworu zainspirować może, na przykład, widok trocin rozsypanych na drewnianej podłodze, kurz pokrywający wspomniane przedmioty wiszące za kontuarem (im bliżej sufitu tym jego warstwa jest grubsza. Tworzą się nawet niewielkie, jakby sople), deski podłogi wytarte przez pokolenia bywalców. Pobudzić twórczo może również któreś z mnóstwa zdarzeń, jakie miały miejsce w McSorleyu w ciągu przeszło 150 lat jego istnienia. Nie można też wykluczyć, że w nocy, pomiędzy klientami, przesiadują duchy dawnych miłośników tego miejsca. A jeśli tak, to są wśród nich duchy poetów, którzy niegdyś zamawiali kolejne piwa i ... opierając stopy o podstawę kozy, pisali listy do przyjaciół bądź wiersze.

McSorley w weekendy należy do tych, którzy w dni powszednie nie mają czasu w nim bywać. Przebywają bowiem wtedy, i to długo, w tych miejscach na Manhattanie, gdzie zarabia się dużo, albo bardzo dużo. Natomiast od poniedziałku do piątku, we dnie i nocie, można tu zastać liczne osoby, które żyją na zwolnionych obrotach, dla których czas, to nie tylko pieniądź. Wśród nich jest wielu brodaczy. Jeśli chodzi o mnie, to w każdym posiadaczu brody, którego zobaczę w tym pubie, widzę poetę. Gdyby nawet okazało się, że któryś z nich jednak wierszy nie pisze, to z pewnością interesuje się poezją. Najbardziej zaawansowani wiekowo z tego grona, przychodzą

tutaj, tak jak przychodzili w połowie XX w., gdy w McSorleyu zaczęto czytać wiersze (w innych pubach i barach East Village i Greenwich Village działa się zresztą podobnie).

Siedząc przy oknach można spoglądać na biegnącą prostopadle uliczkę – Taras Shevchenko Place. Upamiętniając w ten sposób największego poetę ukraińskiego, nawiązano równocześnie do poetyckich tradycji East Village, jak i do tego, że zachodni fragment tej dzielnicy nosi nieoficjalnie nazwę Little Ukraine. Mieszka w nim bowiem kilkadziesiąt tysięcy Ukraińców i Amerykanów pochodzenia ukraińskiego.

*

W McSorleyu podaje się tylko dwa rodzaje piwa: jasne i ciemne. Jest ono warzone według receptury Johna McSorleya. Jeszcze nie tak dawno odbywało się to w małym browarze znajdującym się na zapleczu pubu. Obecnie piwo jest dowożone.

Warto wspomnieć, że McSorley's Old Ale House należał do jednych z ostatnich nowojorskich lokali z wyszynkiem, do których nie miały wstępu kobiety. Zmieniło się to w 1970 r.

*

Obecność McSorleya, ale nie tylko tego lokalu, w krajobrazie Nowego Jorku, stawia pod znakiem zapytania, żywione powszechnie przekonanie, że jest to miasto zapatrzone w przyszłość, co najwyżej zerkające na teraźniejszość. Okazuje się bowiem, że istnieje również stary Nowy Jork. To fakt, że jest niewielki i nie rzuca się w oczy. Jednak, gdy ktoś zacznie uważnie przyglądać się otoczeniu, dostrzeże jego obecność. Zauważy pochodzące z XVIII i XIX w. pomniki, fragmenty ulic pokryte kocimi łbami, budynki mieszkalne i użyteczności publicznej, świątynie (m. in. St. Paul Chapel, Trinity Church, Church of St. Luke in The Fields), nagrobki na przykościelnych cmentarzach, niektóre puby i lokale gastronomiczne (np. Ye Waverly Inn).

*

Jak to dobrze, że są takie miejsca (nie tylko w Nowym Jorku), które sprawiają

wrażenie, że czas zatrzymał się. A jeżeli nie zatrzymał się, to przynajmniej płynie wolniej.

* Oba obrazy nie są prezentowane w McSorleyu.